

APTEKARKA

SAGA RODU TYSZKOWSKICH



Gorzka czekolada



Magda

SKUBISZ

APTEKARKA

SAGA RODU TYSZKOWSKICH



**GORZKA
CZEKOLADA**

Copyright © 2022 by Magdalena Skubisz
Copyright © 2022 for this edition by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt graficzny okładki Urszula Gireń
Zdjęcie na okładce Anna Dalidutko
Modelka Weronika Jeleśniański

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości
albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów
w artykułach i przeglądach krytycznych — możliwe
jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-952-5

Gorzka Czekolada jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Skład i wykreślenie mapy Andrzej Komendziński

Druk Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.
Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność,
promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej
kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich,
nabywasz książki legalnie i nie udostępniasz ich publicznie,
np. w Internecie. Dziękujemy za to, że w ten sposób wspierasz
autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować ich książki.

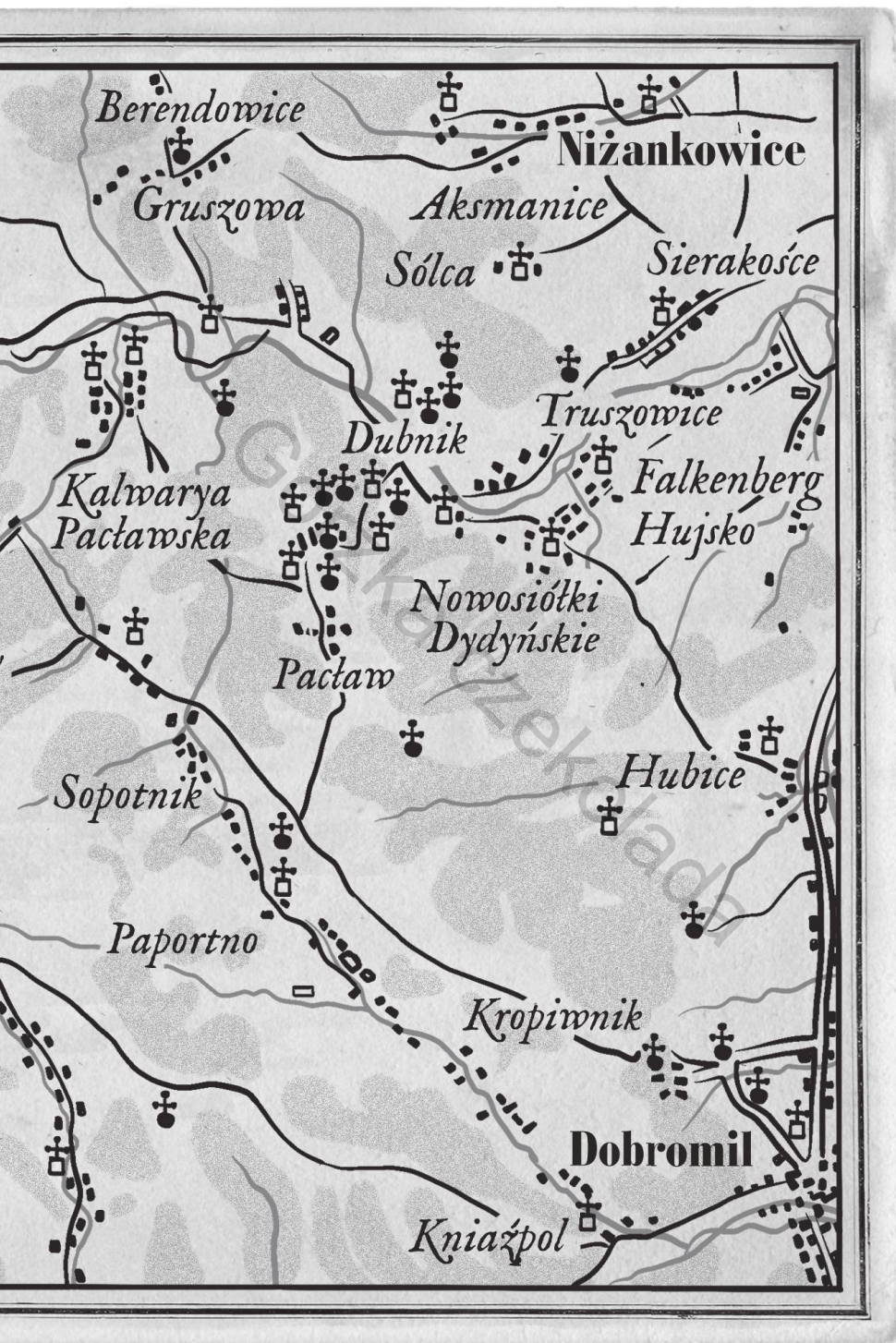
Honorarium autorskie z pierwszego tysiąca sprzedanych
egzemplarzy książki zostanie w całości przekazane
na pomoc uchodźcom z Ukrainy.

*Kobieta do szczęścia swego nie potrzebuje sławy,
potrzebuje raczej, aby nikt się na nią nie gniewał.*

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa



Część majątku Tyszkowskich w połowie XIX wieku



Berendowice

Nizankowice

Gruszowa

Aksmanice

Sólca

Sierakośce

Kalwarya
Pactawska

Dubnik

Truszowice

Falkenberg

Hujsko

Nowosiółki
Dydyńskie

Pactaw

Sopotnik

Hubice

Paportno

Kropiwnik

Dobromil

Kniaźpol



Bircza, cyrkuł sanocki A.D. 1854

Birczański zamek tonął we mgle. Białe pasemka, krótkie i poszarpane niczym pociągnięcia pędzla pijanego malarza, snuły się wzdłuż kamiennego muru. Wczesna jesień na pogórzu jak co roku była ciepła, barwna i szczodra w dary natury, ale do zadań panny aptecznej nie należało rozkoszowanie się widokami. Zanurzona obiema dłońmi w mokrych pokrzywach szarpała je nielitościwie, ledwie dostrzegając piękno poranka, a licząc pilnie wyrwane łodygi. Pięć, osiem, dwanaście...

Pokrzywy parzyły mimo zapaski, gryząc, piekąc, mszcząc się za własną śmierć okrutnymi bąblami. Aptekarka miała już spore naręczce żegawek, ale wiedziała, że i tak będzie musiała zerwać ich ze trzy razy więcej: dla kur, świń, na kiszonkę do warzywnika i kwiatów, a przede wszystkim na chore nerki jaśnie pani Ludwiki. Aptekarce przypadłość pani szczególnie dawała się we znaki: bielizna i suknie obfitowały w żółte plamy, których przez wzgląd na delikatność materiału nie można było czyścić ługiem, a wyłącznie mydlnicą. Po korzeń należało się wyprawić na drugą stronę lasu. W lesie, jak

zwykle o tej porze roku, trwało polowanie. Małżonek pani, jaśnie pan Adam, miał opinię zapalonego myśliwca, a na łowach – prócz trzech synów – towarzyszył mu najmożniejszy w całym sanockim cyrkule obywatel, pan Tyszkowski, o którym mawiano, że włościan nienawidzi równie mocno co ciepłej okowity.

Biorąc to wszystko pod uwagę, aptekarka wołała trzymać się od możliwych z daleka, a od najmożliwszych jeszcze dalej.

Przyduśiła bosą stopą kępę jeżyn i zakląła, bo ból przypomniiał o pozostałych ziołach na dekokt dla jaśnie pani Ludwiki. Porachowała w myślach: jeżynę właśnie znalazła, mięta rosła po drugiej stronie dworskiego ogrodu, rumianek i czarny bez w suchych pękach zwisał u powały w aptecznym składzie, pokrzyw miała dosyć... Brakowało krwawnika, skrzypu i podbiału. I jeszcze czegoś.

– Mów, Batko – wyszeptała do siebie (a w zasadzie do Batki, który – jeśli stare baby mówiły prawdę – błąkał się po śmierci wszędzie, więc równie dobrze mógł i tutaj). – Podpowiedz... Jeżyna, pokrzywa, skrzyp na czyszczenie nerek. Bez i rumianek na zapalenie. Mięta na żołądek, krwawnik na krew, podbiał na wzmocnienie, a to osiem ziół, niedobrze... Ośmiu ziół nie kazałeś dawać, zawsze siedem, dziewięć albo jedenaście.

Zmarszczyła brwi. Batko mawiał, że ostatnie zioło należy znaleźć blisko siebie, i to takie, które rośnie wszędzie i obficie, nawet w zimie pod śniegiem, bo Boh Myłtyj i Szczedryj wie przecież, że ludziom przez okrągły rok będzie potrzebne.

Rozmyślenia przerwał bolesny skurcz, dziewczyna zacisnęła zęby i spojrzała na zdrętwiałą z zimna stopę. Między bosc palce wkręciła się mocna jak jutowy sznur lodyga, wystająca z rozkopanej ziemi.

– Perz! – Pochyliła się i wydarła z ziemi rozłożyste kłaczce. – Dzięki ci, Batko! – Ucałowała kciuk i wskazała nim niebo. – Dzięki ci, Batko, ale następnym razem mów głośniej.

– Znów z badyłami rozmawiasz, Katja? – usłyszała za sobą przyjazny, śpiewny głos Praskowii. Kucharka wymawiała jej imię w sobie tylko właściwy sposób, naciągając „i” jak dojarka krowie cycki, tak że wychodziło: „Katija”. – Odpowiadają ci chociaż?

– I to jak, mateczko! Bardziej niż ludzie!

Pulchna Praskowia, w pobrudzonym mąką fartuchu i z ciastem na czerwonych policzkach, roześmiała się głośno.

– Pytałam, czy odpowiadają ci, jak do nich pleciesz! Aleś sama wygadała więcej, niż chciałaś i co od dawna wszyscy wiedzą, żeś dzikus i pustelnica! Byłaś już u panielki Augusty?

– Augusta teraz chrapie, aż się ściany trzęsą – burknęła Katja, układając perz w fartuchu. – Wczoraj balowała do drugiej, to odsypiać będzie do południa. Jaśnie państwo tak samo, zabawa w końcu trwała do rana! Na własne oczy muzykantów widziałam, jak wychodzili z zamku przed świtem.

– A widziałas, jak womitowali do świńskiego kooryta? – zagadnęła Praskowia z błyskiem w oku, zdradzającym upodobanie do śmiechu, gorzałki i niezbyt

wyrafinowanych rozrywek. – Bo wystaw sobie: wraca nasza Różia z chlewiku wielce zdziwiona, kto prosiakom jedzenia dołał! – zachichotała obłąkańczo. – Choć po prawdzie mówiąc, zasiedzieć się nasi państwo mogli, ale balować nie bardzo, bo pan Tyszkowski nogę skrzył.

– Coś podobnego! Tak tańcował na balu?

Praskowia się rozejrzała i podeszła bliżej.

– Na polowaniu! – Znów się rozejrzała i wyszeptwała do ucha aptekarki: – Tylko że upolował nie zwierzyne, a naszego leśniczego!

Katja poparzyła się pokrzywą.

– Naszego Walerka?! Cóż tam się stało, mateczko?!

– Przyłapał Walerka, jak kradł drewno i – jak to pan – wystrzelił! Koń Tyszkowskiego się spłoszył od strzału, wierzgnął i panisko na dupę zleciało! A że nogę w strzemieniu trzymał, to jakoś tak wyszło, że kolano czy łydkę skrzył! Na szczęście pańska kula tylko drasnęła Walerka po facjacie, więc oczy i nos ma całe, chociaż spuchnięty na gębie jak purchawka. Wiadomo, że każdy leśniczy kradnie drewno, bo swego lasu nie ma! Tfu, na psa urok, żeby strzelać do człowieka za parę gałęzi?! Mieści się to w głowie?

– Noga ważna rzecz dla możnego pana. – Katja owinęła fartuchem zioła. – Ani konia dosiąść, ani zatańczyć, ani kopniaka słudze wymierzyć.

Kucharka wzięła się pod boki.

– Ba! Żebyś ty widziała, jaki Tyszkowski zły był wczoraj! Na własne oczy widziałam, jak grał w mariasza z panem Adamem, a panienska Augusta wielce niezadowolona tańcowała z braćmi! – Ściszyła głos. – Tylko się

nie wygadaj, dziewczyno, że wiesz o tej awanturze, bo by się państwo gniewali...

– Katrusia! – rozległo się wołanie. Obie umilkły.

Stara ochmistrzyni Eugenia, ubrana z polska w ciemną, prostą suknię z białym kołnierzykiem, podążała energicznym krokiem w ich stronę. Zadyszana, z siwymi kosmykami wymykającymi się z ulizanego koczka, stanęła na skraju łąki, najwyraźniej nie mając sił iść dalej.

– Katja, szybko! Leć do państwa! – Przycisnęła dłoń do zapadłej piersi i dokończyła, chwytając chrapliwie oddech. – Kolano pana Tyszkowskiego bardzo spuchło i nawet okładanie octem nie pomaga! No, już! Zostaw badyle Parasce, niech zaniesie do kuchni!

Praskowii złośliwie błysnęły oczy.

– Pokarał los za naszego leśniczego – wycedziła, przejmując od aptekarki naręczę pokrzyw. – Au! Niech cię diabli, dziewczyno, jak to piecze!

Eugenia gestem ponagliła aptekarke, która posłusznie podbiegła.

– No, chodźże! Prędko, prędko! – Naraz załamała rękę. – Na litość boską, jak ty wyglądasz?! Jaki czort cię podkusił, żeby bez butów po rosie biegać?! Jak ty na pokoje wejdiesz?! I ten fartuch ohydny, zielska pełno, mrówki, liszki! – Szarpnęła związane na talii dziewczyny troczki fartucha i zerwała go z nieskrywanym obrzydzeniem. – Skaranie boskie z takim brudasem!

– Przecież wiesz, mateczko, że panienka Augusta pozwała mi się kąpać tylko w Stupnicy! Mówi, że wannę brudzę!

– Nie myśl teraz o kąpieli, tylko się spiesz, bo cię państwo wyłają! – zawtórowała Praskowia. – Łaska pańska na pstrym koniu jeździ, a popędza konia jak ten hrabia Aureli, co w godzinę z Birczy do Przemyśla chciał zjechać! Bacz, żebyś nie zdechła jak ten koń!

Aptekarka, ponaglana przez Eugenię, rzuciła się biegiem w stronę zamku. Zdyszana ochmistrzyni ledwie dotrzymywała jej kroku, walcząc z samodziałową suknią, która zawijała się wokół chudych kostek i krępowała ruchy.

– A co z Walerkiem? – wydyszała Katja, uważając, żeby nie wdepnąć bosą stopą w krowi placek. – Wiecie, matko, co z nim?

– Żona jego była dziś we dworze, pytała o ciebie, czybyś mu jakichś ziół nie zadała, bo mu oko spod tej opuchlizny ledwie wystaje – odparła, głośno łapiąc powietrze. – Ale to potem, duszko! Teraz szybciotko, nogi, trzewiki, dam ci czysty fartuch z komody i do państwa! Dobrze wiesz, jak nie lubią czekać!

Katję przeszył dreszcz, jak zawsze, gdy kto nieopatrznie użył tych słów.

Ujrzała cień, straszny cień ze sznurem zaciśniętym na szyi, pochylony przed pańskimi stopami, pośród innych cieni tak samo pochylonych na birczańskim rynku. Rząd austriackich bagnetów odgradzających szpalerem pobladłych, zaciętych włościan. Szlochania bab, błagania, modlitwy i ponad tym wszystkim głos: przymilny, zmysłowy, przeciągły od pychy i poczucia władzy: „Jeśli kto teraz sam łeb w pętlę włoży, najlepiej przysłuży się

i mnie, i wam! Zapamiętajcie sobie, chamy, że wielmożni państwo nie lubią czekać!”

– Włosa! – Niecierpliwy okrzyk wyrwał Katję z zamyslenia. – Popraw warkocz, czoło wytrzymaj, boś ubabrana jak dziewczka, co podkłada do kominka!

Aptekarka nawet nie spostrzegła, kiedy wbiegły na zamkowy dziedziniec, a potem do skromnie urządzonego pokoju ochmistrzyni. Eugenia w gorączkowym pośpiechu wyszarpywała liście z warkocza Katji, starając się ignorować podskakujący na ścianie chwost dzwonka.

– Państwo wylają cię jak amen w pacierzu! I mnie przy okazji! Szybko, wkładaj trzewiki!

– Czyje, mateczko?! Przecież moje...

– Moje, do kroćset! Szybko, wkładaj, wytrzymaj stopy szmatą, żeby ziemi znać nie było! Czekają na ciebie w bawialni, pani, panicz Marcel i pan Tyszkowski. Idźże już prędzej!

Katja drżącymi palcami zasznurowała przyciasne trzewiki, jednocześnie poddając się dłoniom Eugenii, które pospiesznie okręcały ją paskiem świeżo wykrochmalonego, białego fartucha.

– Jak wejdiesz, przeproś za spóźnienie, powiedz, że daleko byłaś i znaleźć cię nie mogłam. – Ochmistrzyni zawiązała fartuch, otrzepując ramiona aptekarki z biedronek, gaśienic i zabłąkanych liści. – Wyprostuj się, mów niegłośno i nie patrz zuchwale w oczy, jak ci się co krok przydarza...

– Wiem wszystko, mateczko – przerwała i szybko cmoknęła starą w rękę. – Biegnę!

Niestety, skłamała, bo biec w przyciasnych trzewiakach było niemożliwością.



Głęboki wdech i „puk, puk” kostką trzeciego palca. Niegłósne, uprzejme, pełne pokory zawiadomienie o gotowości na rozkazy chlebobawców – przynajmniej tak stawienie się przed obliczem możnych opisano w poradniku dla wiernych sług, którego gruntownej znajomości wymagała od Katji jaśnie pani Ludwika.

– Nareszcie! – Zza dębowych, intarsjowanych drzwi zabrzmiał zniecierpliwiony damski głos. – Nareszcie się zjawiała! Marcel, otwórzże!

Drzwi drgnęły i ukazała się w nich pryszczata twarz młodego panicza, który najpierw zerknął w dekolot aptekarki, a zauważywszy, że jest przysłonięty fartuchem, z niechęcią odwrócił wzrok.

– Toni, poznaj naszą pannę apteczną – zaćwierkotała pani. Głos miała przejęty i piskliwy, co niechybnie świadczyło o tym, że chce korzystnie wypaść przed gościem. – Oto nasza Jekateryna! Jak zwykle spóźniona!

Załamano ręce teatralnym gestem, po czym skierowała fiołkowe oczy na rozpartego w fotelu, postawnego szlachcica.

Katja dygnęła. Tyszkowski, z nogą wyciągniętą na atlasowym podnóżku, ziewnął. Ogorzały brunet około trzydziestki, w modnym garniturze i prawym buciku z cielęcej skóry (lewy leżał obok fotela), zakręcił